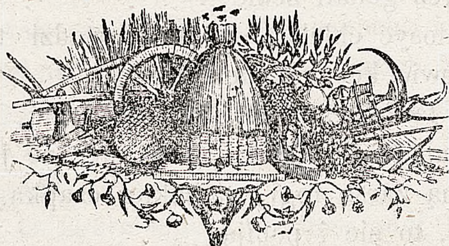
Tom XI. Nr. 5.

11. sierpnia 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stara figura.

Pięć mil od miasta Jaworowa stoi między lasami i piaskami jedna duża wieś, co ją zowią z dawien dawna Królewską Wolą, a gadają sobie tamtejsi gazdowie, że tę gromadę fundował jakiś krol polski i rozdał swoje grunta między chłopów na wieczną pamiątkę, a wieś fundowaną kazał nazywać Królewską Wolą. I są tam w tej gromadzie rozmaici ludzie, co tam poprzychodzili z różnych stron i nazywają się rozmaicie, mają kościół murowany od jakiegoś króla polskiego, a żyją sobie cicho w zgodzie i wiedzą o tem dobrze, że ich ojcowie byli Polakami rodowitymi, i że oni sami są także takimi samymi Polakami.

W całej wsi jest porządek, grunta wielkie, sadowiny dosyć, a pastwisko takie gromadzkie, że ledwo zobaczysz drugi koniec het! tam gdzieś koło lasów. Stoi tam i szkoła nowiutka, jest tam i nowy profesor gdzieś aż ze Lwowa sprowadzony — ale jedno złe było w gromadzie, że gospodarze lubili się dużo zabawiać w arendzie murowanej i tam marnowali

strasznie dużo swojej pracy. Dał im Bóg i jakiś król polski wielkie i dobre grunta, mają z nich każdy do sto kop zboża przeróżnego, to też gadali sobie:

— Mamy dosyć chleba, to nie zawadzi to nikomu, że się i diabłu oberwie kęs niejeden.

Grzeszneto takie gadanie, ale cóż robić, kiedy to taki zwyk niedobry między polskimi gazdami, że jak mają pełne brogi, to im rosną zaraz rogi, na bakier czapka, do gęby fajka, a jak się popiją, to się i pobiją.

Otóż niedawno jechałem sobie do drugiego księdza, z którym byliśmy dawniej szkolarzami razem i przejeżdżałem przez Królewską Wolę. Jadę sobie popod chałupy i pomiędzy ogrody, aż wyjechałem przed dwie chałupy, które sobie stały kawałek ode wsi, a koło płotu zobaczyłem nachyloną figurę, z której mało co nie wyleciał Pan Jezus ukrzyżowany i prawą rękę wystawił na świat. Patrzę i przypatruję się lepiej, a tu na samym przodzie koło figury była jama, ziemia się zapadła tak, że figura nachyliła się bardzo i mało że się nie przewróciła. Pomyślałem sobie:

— Ot! pewnie się ziemia usunęła pod figurą, i dla tego nachyliła się figura — ale dziwno mi było strasznie, że też to ludzie nie sprostowali tej figury i nie włożyli Pana Jezusa do środka, jeno go tak zostawili. Poszedłem więc do jednej chałupy, zastałem tam babusię stareńką, jak krzaczek, pochwaliłem po katolicku i po polsku Pana Jezusa i pytam jej:

— Moja dobra babusio! czemu to wy nie sprostujecie tej figury i nie poprawicie Pana Jezusa, aby tak mizernie nie wisiał za jednę rękę i to za lewą?

Babusia wypatrzyła się na mnie z podziwu, postawiła do kąta miotłę, którą zamiatała do czysta izbę wielką, potem otarła sobie zapaską czoło spocone od roboty, umyła ręce i i mówiła:

— A witajcie jegomość w nasz polski dom — toć ja myślałam, że to nasz Jegomość, a to pono nie! bo to takie już moje stare oczy, że mi trudno poznać ludzi — zawsze w domu robota i robota i robota i nie ma nigdy końca tej roboty od świtania do wieczora, a to i starość nie uwalnia od roboty,

jeno trza robić aż do śmierci, bo to trza zdać rachunek kiedyś przed Bogiem, coś rękami, palcami i głową zapracował i na co to się obróciło potem, czy na chwałę bożą i na pożytek drugiemu — tak się roztyrkotała babusia i gadała mądrze, żem słuchał jej nauki, jakby kazania, alem jej przerwał:

— Ale moja babusio! powiedzcieno mi na wyrozumienie, czyja to figura?

Ona mi gada:

— Jużci ta figura należy do nas, mój jegomość, bo stoi na miedzy naszej, pół naszego gruntu, a pół Szymka Sowy, mego chrześniaka.

A ja pytam znowu:

— A czemu to wy tak niedobrzy, że nie poprawicie figury, Ta to publika, aby tak mizernie wisiał Pan Jezus za jedną rękę, że mało co nie wyleci z figury na ziemię?

A ona mi na to:

— Oj nie publika to nie! mój Jegomość — my tam temu nie winni, że się tak porobiło niedobrze z tą figurą, i że się tam zapadł okrutnie głęboko w ziemię jeden chłop nasz, i sam się udusił a ludzie go przy księdzu wydobyli aż drugiego dnia z tej jamy i pochowali z wielkim strachem i płaczem, a teraz to się boi każdy przystąpić do tej figury i omija ją z daleka, aby jego nie pokarał tak samo Pan Jezus sprawiedliwy, jak tego nieboraka Jaśka Deca, co to zapadł się pod ziemią koło tej figury.

A ja nastraszyłem się bardzo na takie opowiadanie babusi, jakieś zimno przeszło mię od stóp do głowy, wybiegłem ze sieni, wyszła i babusia za mną, poszedłem do tej figury i wołałem na babusię, aby przyszła do mnie, a ona mi gadała:

— O! Jegomość! nie pójdę tam, bo bym umarła ze strachu zaraz — tam strach wielki i niech Jegomość uważają sami, aby się ziemia dalej nie zapadła.

A ja na to:

— Moja babusio! tąć nas zawsze i wszędzie ma Bóg sprawiedliwy w swej ręce, co on nam przeznacza i na co my sobie zasłużymy, to nas nie minie przenigdy — i śmierć nas nie minie, a Bóg ma swoje sposoby zawsze i wie dobrze,

kiedy mamy umierać i jak? Nie trza się bać nigdy śmierci, jeno Bożego sądu, a kto z Bogiem wstaje, pracuje i lega, ten z Bogiem umiera; śmierć nie gubi nikogo, jeno życie złe może zagubić na wieki Ale pójdźcie no babusio bliżej i opowiedzcieno mi wszystko od początku do końca, ale sumiennie i sprawiedliwie jak Bóg przykazuje, co się stało z tym Jaśkiem?

— Co się stało? — powiada babusia — to aż włosy na głowie stają na samo przypomnienie. Bo to widzi Jegomość, był ten Jaśko gazda na całą gromadę, co się zowie, po dziadku miał 25 morgów gruntu dobrego, chałupa mu się dostała z grubego drzewa cała, wziął 4 konie i 6 krów jakby ich ulał, ożenił go dziadek u bogacza Stacha Kozyry aż na drugiej wsi, a dostałci wiano takie za żoną, żeby cztery dziewki miały dosyć na wydanie się. I było tam pracy po komorach i stodołach, jak nasiał; od powały aż do ziemi było wszędzie pełno chleba, jak w pańskim szpichlerzu. I trza było jeno żyć i Boga chwalić i ludziskom dobrze życzyć i dobrze robić, a byłoby mu tak, jak w raju. Ale co to?

Ja poderwałem babusię i pytam:

— No! i cóż on zrobił z tą pracą boską i ludzką?

— A coby dobrego, gadała mi babusia, toć to kto rozkosznik i zbytecznik, to mu jeno złe na myśli stoi i grzechy broi, a zapomina na to, co ludzie mądrzy gadają: Uważaj moje kocię, bo idzie o cię — nie jedz i nie pij dużo gębą, bo ci dukaciki ubędą, a strzeż się złego, jak ognia piekielnego — idź sobie prosto jak trzeba jeźli chcesz zajść do nieba! Toć jegomość to najlepiej wiedzą, co to teraz bogacze na wsi wyrabiają — nic im się robić nie chce, jeno by się weselili dobrze jedli, dobrze pili — a uchodzi im wszystko gładko, bo mając pieniądze przy sobie, to masz wójta i gromadę za sobą i cóż ci kto zrobi?

Tak było i z tym Jaśkiem, co udawał wielkiego mądrala i naszemu panu we dworze dopiekł nie raz, i naszego księdza nie usłuchał nigdy i starszego nie uszanował, i do złego buntował gromadę, a pijak to był taki, że od niedzieli do niedzieli przesiedział i przespał w arendzie.

A ja spytałem babusię:

— A czyżto nie było ludzi w gromadzie, aby coś zrobić z takim rozkosznikiem?

— Ta! gdzie tam teraz poradzi kto, jak się trafi niedobry chłop jeden i drugi, mówiła babusia, to jeno jeden Bóg ma sposób na takich drabów, i tak też zrobił i temu Jaśkowi. Piło to hultaisko jakie 20 lat, potraciło to do nogi wszystko, sponiewierało to żonę i dzieci, pohańbiło nieraz swego dziadka, co mu taki grunt zapisał; a jak się to upiło w arendzie i wracało przez wieś do dom, to klęło aż ziemia drżała. A jak przylazł do tej figury, to sobie stanął, czapkę na bakier postawił, głowę pijaną do góry zadarł, ręce na plecy założył i dopiero zaczął wygadywać i bluźnić na tego Pana Jezusa samego a nieraz to i ręką mu pogroził.

A ja słuchałem ze strachem tego opowiadania i pytam się dalej:

— A czy to nie było kary na takiego bezbożnika?

— Ta cóż Jegomość, mówiła babusia, co z pijakiem było robić? karali go, bili, po sądach wodzili, on sam, jak się wytrzeźwił to żałował i klękał przed tą figurą i przysięgał, że pić nie będzie, ale potem robił swoje. Ludzie też zdali się na Boga, a ten ukarał na koniec.

— No! i cóż się stało? pytałem.

— Zapadł się tu w tem samem miejscu, gdzie Jegomość stoją — mówiła babusia i pokazała mi ręką jamę koło figury.

— A to jakim sposobem? — zapytałem.

Na to rzekła babusia:

— Oto w niedzielę po bożem ciele, byli ludzie w kościele na nieszporze, a ten pijak wracał pijany, a kiedy szła procesya koło kościoła z monstrancyą, to on ani czapki nie zdjął ani nie ukląkł, jeno coś mruczał i szwargotał pod nosem aż zaszedł do tej figury i tam znowu rozpoczął swoje bluźnierstwo — wtedy wyraźnie jakby Bóg cud dopuścił, bo usunęła się naraz ziemia i zasypała go całkiem, jeno mu z jednej ręki widać było palce z pod ziemi, a tą ręką miał grozić i odkazywać temu Panu Jezusowi — wtedy się i figura nachyliła i ten Pan Jezus odtąd tak został. Pastuchy, którzy to wszystko wi-

dzieli, przybiegli do kościoła i to opowiedzieli, a ludzie wtedy poszli tam z księdzem i widzieli to wszystko. Aż drugiego dnia wydobyła go gromada, ale był tak siny cały, jak węgiel i pochowaliśmy go. A ksiądz zostawił tę figurę z Panem Jezusem tak nachyloną i tę jamę na pamiątkę, aby się ludzie kajali i takich grzechów nie robili.

Ja na to gadanie ażem się rozpłakał, pocałowałem w rączkę prawą tego Pana Jezusa, potem pocałowałem figurę i zmówiłem paciorek z wielkim żalem i strachem.

A potem zapytałem babusię:

— A co też na to straszne i cudowne zdarzenie gadają sobie ludzie i czy ich to poprawiło?

A ona mi powiedziała:

— O! teraz każdy przestraszył się nie mało — od tamtego czasu nie ma u nas pijaków — teraz mamy szkołę i dzieci nasze uczą się Boga chwalić i żyć inaczej, jak to starzy robili, a co rok w tę samą niedzielę idzie procesya do tej figury, ksiądz ma kazanie, a ludzie płaczą, aż się po lasach rozlega. Przychodzą tu i drugie gromady do tej figury i każdy ma się tu czemu napatrzyć i może sobie brać dobrze do głowy, jak to trza robić za życia na tym świecie.

— No! to chwała Bogu! — mówiłem sobie — kiedy tak, i dałby Bóg, aby z tej Królewskiej Woli poszli wszyscy do królestwa niebieskiego!

Potem pożegnałem babusię, pojechałem dalej i wróciłem do dom z Bogiem i rozmyślam sobie, jak to na całym świecie karze rozmaicie Bóg ludzi grzesznych.

Ksiądz Wojciech z Medyki

Zły przykład.

W przykładnem stadle młode, szczęsne latka
Przeżyli z sobą Jakób i Agatka,
Bez kłótni, zwady, bez najmniejszej sprzeczki,
Zgodnie jak dwie turkaweczki.

Syn ich Tomaszek pełen był pokory,
A tak posłuszny, tak do usług skory,
Tak cichy w pośród rodzinnego kółka,
Że go mieli za aniołka.
Zwierzęta nawet mieszkające z niemi,
Nadzwyczaj były dobremi,
To się w gronie miłem, słodkiem
Razem pieściły z Tomaszkiem,
To znów piesek igrał z kotkiem,
A kotek bawił się z ptaszkiem.
Słowem nikt jeszcze nie widział takiego
Szczęścia raju i swobody,
I nie było większej zgody
Nawet i w arce Noego.

Ależ i licho przyszło nareszcie!
Jakiś głupi kiermasz w mieście
Całą tę zgodę rozstroił:
Nasz Jakubek
Nalał w czubek,
I żonie skórę wyłoił!
Żona kwaśną strojąc minkę
Przez zemstę na złość mężowi,
Za jakąś tam drobną winkę,
Dała rózgą Tomaszkowi.
Chłopiec z wielkim gniewem, płaczem,
Wybił pieska harapaczem,
Pies niecnota
Pogryzł kota
Kota nawet czart pokusił —
Porwał ptaszka i udusił!

*
* *

Tak to zły przykład, gdy się zdarzy komu,
Z łatwością się rozkorzeni:
Raz tylko djabła wpuść do twego domu
A raj ci w piekło zamieni!

Franciszek Morawski.

Czarodziejskie kamienie,

czyli:

Jak Tomasz Drapka lazł na czarcią górę A Szmaciłatka wytrzepał mu skórę!

I.

Choćbyś parpał między ludźmi, jak kura między śmieciem, to założyłbym się o czerwony dukat za złomaną podkówkę, że nie za lada dzień jaki znalazłbyś takiego uciesznego franta i wesołego chwata zarazem, jakim był Antek Szmaciłatka!

Antek Szmaciłatka był sobie krawcem wędrownym, co chodził od wsi do wsi za robotą i nosił z sobą nietylko nici, igły i nożyce ale kilkanaście tuzinów spiewanek i gadek dla dobrych ludzi a kilkadziesiąt kop figlów i psikusów dla hultajów.

Na dwadzieścia wsi wokoło wszyscy znali i kochali Szmaciłatkę. Czy to kmieć, czy parobek, czy dziewka, czy dzieciak jaki, to wszyscy w takiej z nim byli znajomości jak z własną kieszenią — a bywało kiedy kto huknął na wieś, że idzie Szmaciłatka, to zaraz cała wieś zleciała się obcesem jakby nieprzymierzając stary kościelny Łukasz Żłypka zadzwonił na gwałt wszystkiemi dzwonami i sygnaturką w dodatku!

Bo też choćbyś zesztukował na kupę rozum i sprytność półtrzecia człowieka nawet — to jak amen w pacierzu pożyczyć byś musiał jeszcze drugie półtrzecia i dodać z swojej własnej łepety rozum calusienki w przyczynku, aby nazbierać tyle mądrego mózgu, co go sam Antek Szmaciłatka pod swoim łysym nosił czerepem!

A przy tem wszystkiem uczciwy i dobry był ten Antek Szmaciłatka, że szukać by takiego drugiego na świecie jak główki od szpilki w korcu maku i to niestrychowanym do tego! Żebyś był sobie nabrał na kapotę sukna choćby takiego, jak sam pan burmistrz Protazy Hyczka z Załabek nosi na sobie co Wielkanoc i Boże narodzenie — to i mierzyćbyś nie potrzebował i oczy mógłbyś zamknąć jak skąpy człowiek kułak, a Szmaciłatka pewno by ci był z tego sukna nie ukradł nawet takiego kawałeczka, coby pchle na żupan wystarczył!

A jak bywało siądzie Szmaciłatka do roboty, to jak nie zacznie przecudne spiewanki spiewać i przerozmaite ucieszne opowiadać historye, że gdyby cię twoja baba pod żebro na upamiętanie nie szturknęła, tobyś i jeść i spać ze wszystkiem zapomniał! A jak już komu uszyje nową sukmanę, to chyba ręce w kieszenie założyć i ludzi się pytać, ile Kraków z przedmieściem kosztuje — a jak pocznie łatać starą kapotę, to choćby dziur miała jak kaszy, to ją tak wyfrycuje, że gdybyś ludziom przysięgał, że stara, to nikt ci nie uwierzy!...

Ale też za to znowu wszyscy hultaje i nicponie uciekali przed Antkiem jak djabeł przed kropielnicą, bo ich zawsze umiał zajść z mańki i wsypał niejednemu bobu co się zowie! A u Szmaciłatki nie kupić jakiego figla! Jak tylko dopadł jakiego urwisa, to mu po majstersku przypiął łatkę i skroił kurtę jak się patrzy.

Otóż jednej soboty pod wieczór sunął po drodze Antek Szmaciłatka do wsi Żabie Brzuszki i już dochodził do chałup, kiedy nagle przypomniał sobie, że dla biednego sieroty po kowalu Maciągu ma dokończyć żupaniątko, co mu go z litości z własnego sukna za darmo uszył.

— Jeszcze św. niedziela nie zaszła — mówi sobie Szmaciłatka — toć siądę gdzie w cieniu i skończę dla tego biednego sierotki ten żupanik! Tożto się biedactwo będzie cieszyło, jak mu przyniosę ten darunek w samą niedzielę!

Niedaleko zaś stała chata Tomasza Drapki, co był człek bardzo niedobry i chciwy, a koło chaty tej stała lipa wielka. Siadł sobie więc pod tą lipą Szmaciłatka, zdjął torbę, wyjął żupanię, nałożył na nos okulary z rogu, nawlókł igłę i począł szyć.

A że Antek miał już taki zwyczaj, że kiedy był przy pracy to sobie przyspiewywał rozmaite piosenki ucieszne, to też i teraz szyjąc tak szwytko, że mu aż łokcie kałatały, począł sobie wyspiewywać od serca:

Antek ja ci Szmaciłatka,
Kum ja między wami,
Goszczę u was mnogie latka,
Z igłą, z nożycami! Hu! ha!

Kiedy tak spiewa i szyje sobie Szmaciłatka, wybiegł z swojej chaty Tomasz Drapka, o którym wam już powiedziałem, że był Juda nie człowiek, chytry i zły jak jaszczurka a chciwy i skąpy tak okrutnie, że gdyby wszystkie gwiazdy przemieniły się w cwancygiery a niebo w wielką płachtę, to by je zgarnął w tę płachtę i zaharapczył od razu, a po drodze jeszcze by żebrał o kawałek chleba!

Ten Tomasz Drapka to wyglądał kubek w kubek tak jak uczciwszy uszy bezroga w chomącie — albo za pozwoleniem żaba w kapeluszu! Bo to dziwoląg nie nosił się po swojacku, jeno miał jakąś cudacką surducinę, co by się z niej każdy poczciwy człowiek przed xiędzem spowiadać musiał — a że za młodu był w wojsku i żydom woły pędzał między Niemcy, to szwargotał jakimś takim połamanym językiem, że pewnikiem by się o taką mowę Cygan i Żyd do krwi poczubili, a sam wójt z przysiężnymi nie rozsądził by sprawiedliwie, czy ją ukradł Żyd Cyganowi, czy też Cygan Żydowi!

Jak Tomasz Drapka zobaczył przed swojem podwórzem Szmaciłatkę, rozgniewał się okrutnie, bo już to taki był poganin, że człeku pożałował nawet trochę cienia i murawy.

— A kto tam? — woła Drapka — i zagląda przez płot pod lipę.

Ale Antek nic mu nie odpowiedział, jeno nawlókł nową nitkę i zaczął szyć dalej, przyspiewując sobie wesoło:

Mówiła mi moja matka
Gdym był jeszcze dzieckiem:
„Antku każdy Szmaciłatka,
„Był majstrem krawieckim!

„Kraj więc także nożycami,
„Antku moje dziecko,
„I żyj szwami i łatami,
„I sztuką krawiecką! Hu! ha!

— *Rychtyk* ty! *wagabund!* co ty mi tu harmider robisz *kole* mego podworca? — zawołał po raz drugi Tomasz Drapka.

Ale Szmaciłatka nie odpowiada nic, jeno spiewa dalej:

Kraję, szyję, łatam, pruję,
Kurty, kamizele —
Fastryguję i nicuję
A nie żądam wiele! Hu! ha!

A naraz niby to dopiero zobaczył Drapkę, obraca się Szmaciłatka i mówi do niego:

— A to wy! panie Tomaszu! Jak się też macie? Musi dobrze, bo wam nos spuchł jak ciasto na drożdżach, a czerwony taki, że wrony na ćwierć mili od niego uciekają! Nie macie tam co do roboty? hę? Może wam połatać kabacinę? hę? a dalibóg czas, bo już choćby się gdzie chciała rozedrzeć jeszcze, to dziura nie znajdzie już ani na paznogieć miejsca!....

Robię dobrze, nie leniwo,
A nawet i płatka
Nie skradł nigdy, jako żywo,
Antek Szmaciłatka!

Rozsierdził się okrutnie Tomasz i woła:

— *Halc maul!* Ty *mercho zatracena* co tobie do mego nosa albo do mego surduta! Marsz *kanajl!* albo siedź cicho *saperment* jak ryba!

A Szmaciłatka sobie w śmiech i spiewa dalej:

Spiewa sobie wesół wszędzie
Antek Szmaciłatka,
I tak zawsze śpiewać będzie,
Aż śmierć gębę zatka!

— A to sobie rób *rebelje* na *szyćkie* boki, tylko nie *kole* mego *hofu*, ty *sakramencki* dziadygo!

A Antek sobie:

Nie pogardzaj człeku nami,
Nie pnij nosa w górę,
Bo go utnę nożycami
I *wyłatam* skórę!

Łokciem zmierzę plecy twoje
I przypnę ci łatkę,
I kurtę ci tęgo skroję
Poznasz Szmaciłatkę!

— Owa *rychtyk!* — zawołał Drapka i uchwycił się za nos swój czerwony, jakby już czuł na nim nożyce. — Jeno mi ztąd nie pomaszeruj, to ja cię tu wnet *wyabrychtuję!*

— Zobaczymy, kto kogo nauczy rozumu, ty przeklęty Judaszu!.... — pomyślał sobie Szmaciłatka — już ja ci takiego figla wypłatam, że popamiętasz!...

I mówi do Drapki:

— Ej panie Drapko! Sierdzicie się niewiedzieć dla jakiej przyczyny! Ja mam do was bardzo ważny interes....

— Interes? anu jaki? — zapytał Drapka i zadarł nosa dumnie do góry. Może chcesz abym ci *rychtyk* dał kilka krajcarów? *Nix, nix łachabund!*

— Broń mnie Boże — mówi na to Szmaciłatka — toć ja nie długo już będę tak biedować na świecie. Znalazł ja ci sekret taki panie Tomaszu, że będę miał złota i srebra jak wody!

— Złota i srebra jak wody! — zawołał Drapka i oczy mu czerwono zaświeciły od chciwości! Moi wy kochani Antku, no, nie gniewajcie się na mnie, *bruder*, że ja *sem* was trochę *skunirował*, ot to tylko z dobrego serca. A teraz to *gut Frajnd!*

— Aha! poszedłeś już na lep, skąpcze! — pomyślał sobie Antek i mówi dalej:

— No, no, ta ja to wiem! Ja właśnie z wami chcę wejść w spółkę, bo wy najrozumniejszy człowiek w gromadzie....

— To je *rychtyk* — odpowiedział Drapka — i nadął się bardzo jak pęcherz — człowiek był w świecie *durch* a co ja widział *landów*, to drugiemu chłopu o tem się ani nawet nie śniło! Ale mówcie tam o tym interesie, wedle złota i srebra.

— No to wam powiem — rzecze Szmaciłatka — tylko niech to zostanie między nami, a jak nam się uda, to będziemy mieli pieniędzy jak łobody!

— *Krajcdunder*, jaki wy macie rozum kochany Antku — zawołał Drapka — ano mówcież co prędzej!

— A więc słuchajcie — mówi na to Antek — znacie wy tę kamienistą górę, co tam hen poza lasami sterczy?

— A jużci że znam *durch!*

— Otóż widzicie — mówi Antek — to jest góra zaklęta, czartowska!

— Aj aj! — zawołał Drapka — czy wy *śpasujecie* tylko? To ta góra jest czarcia?

— A jużci prawdę mówię — rzecze Antek — i tam na tej górze można wielkie znaleźć szczęście!

— Owa *rychtyk*, może skarb jaki?

— Jeszcze więcej niż skarb! — odpowiedział Antek —

tam na tej górze czartowskiej są takie kamienie, że jak człek je znajdzie a nosi z sobą, to go nikt a nikt nie będzie widział, a on wszystkich!

— Jakto? — woła Drapka — to jakby ja taki kamień znalazł, to by mnie *rychtyk* widać nie było!

— Ani nawet kawałeczek nosa waszego, choć taki okrutnie duży — mówi na to Szmaciłatka. — Jak zechcecie, aby was nikt nie widział, to jeno wziąć taki kamień do kieszeni, a choćbyście komu na sam nos wsiedli, to was nie zobaczy.

— A niech cię *dunder* świśnie, ta to cudowne kamienie! — zawołał Drapka — to ja *rychtyk* chciałbym mieć takie kamienie!

— A któżby nie chciał — mówi na to Antek — bo to człek wtedy wszędzie zajść może a nikt go widzieć nie będzie! Co nie dobrze to? hę?

— Oj *fajn*, *fajn!* — zawołał Drapka i aż po swym czerwonym nosie oblizał się językiem.

I zaraz ozwała się w nim żyłka chciwości, i mówi do Antka:

— Tak naprzykład, poszedłbym sobie z tym kamieniem do jakiej kasy.... a niktby mnie nie widział, a ja *fejt* do skrzyni, cap za pieniądze i poszedłbym sobie, a nikt ani du du, że ja tam byłem! He! he! he! to je *rychtyk fajn!* Albobym poszedł do samego Wiednia, gdzie srebro i złoto kują na pieniądze i nabrał cwancygierów całą płachtę, a nikt by mnie nie widział!... Albo do stajni dworskiej, a chociaż *kole* ludzi *masieruję*, nikt mnie nie widzi — a ja wtedy *ajnc*, *cwaj*, *draj* łap za konia i nikt mnie nie widzi!

— A tak, tak! — mówi na to niecnocie Drapce Antek — człek czegoby zapragnął, toby miał!

— Panie *Anton*, wy mnie *muszecie* zaprowadzić na te kamienie! Co *mus* to *mus!* A potem będziemy obadwa mieli pieniędzy kieby błota! — mówi Drapka i oczami łypie od złej chuci.

— A jużci, że was zaprowadzę — mówi Antek — ja już dawno chciałem znaleźć jakiego mądrego człowieka, co by

razem ze mną poszedł na czartowską górę, bo samemu jednemu człowiekowi, to jakoś przykro!

— Ale może tam trzeba iść *rychtyk* w nocy? — rzecze Drapka — a ja mam trochę boja wedle złych duchów i upiorów?

— Nie bójcie się Tomaszu — odpowie Antek — nocy na to koniecznie nie potrzeba. Opowiadała mi o tym całym sekrecie jedna wielka czarownica, taka stara jak grzyb, taka brzydka jak djabeł, a taka mądra jak rabin!...

— No a kiedyż pójdziemy po te kamienie? — pyta dalej Tomasz.

— Jutro w same południe. Jak tylko wyjdę z kościoła, to zaraz popędzę na czarcią górę. A wy zaś czekajcie na mnie tam hen za lasem, to was po drodze zabiorę z sobą; tylko musicie wyjść bez śniadania, bo tak czarownica kazała.

Tomasz podziękował Antkowi i poleciał jak szalony od radości do chałupy, a Antek zwinąwszy nici i pochowawszy igły, bo już żupaniątko dla sieroty skończył, poszedł do wsi i wstąpił na noc do starego Grzegorza Flinty, gdzie się jeszcze na wieczorek zeszło dużo sąsiadów a Antek rozpowiadał im przeróżne piękne historye.

Jak zaś na drugi dzień w niedzielę chodził Tomasz Drapka z Antkiem na czarcią górę po cudowne kamienie i co się tam dalej ucieszne go stało — o tem rozpowie wam *Wojtek ze Smolnicy* aż w drugim numerku, bo dziś już ani rusz nie ma w Dzwoneczku na to miejsca.

RÓŻNOŚCI.

Kto smaruje, ten jedzie. Raz się dwaj prawowali przed sądem. Jeden, który sprawiedliwszą miał sprawę, darował sędziemu wózek. Drugi dowiedziawszy się o tem darował sędziemu parę koni. Sędzia zaś rozsądził tak, że ten co dał konie, wygrał. On tedy, co sędziemu darował wózek, mówi:

— Panie sędzio, źleście mój wózek skierowali!

A sędzia na to:

— Nie dziwuj się, to nie ja, jeno konie go tak skierowały! Jak konie ciągną tak wózek musi jechać!....

Złote to przysłowie, kto smaruje ten jedzie.

Z wielkiej zgody się pobili. Nie było nigdy swarliwszego małżeństwa jak Grzela i Magda. Raz się tedy pytano Magdę, czemu między niemi taka niezgoda?

Jaka niezgoda? — mówi Magda — niema ludzi, co by się tak zgadzali jak my. Co ja chcę to i Grzela chce także.

— A jakżeż to moiściewy?

– Ano tak: ja chcę być panią a Grzela chce być panem w domu.

I tak dla wielkiej zgody czubili się Grzela i Magda dalej.

Wielka robota. Pewien pan miał dwóch służących. Otóż raz zawołał do nich z drugiej izby:

— Jesteś Piotrze!

— Jestem panie!

— A co robisz?

— Nic!

— A ty Janie?

— Ja pomagam Piotrowi!

— No to jak skończycie, to mi podacie buty, — mówi pan na to.

Źle to na świecie! — mówił Janek Niezdara — kucharz mnie obił za to żem ogórków nie łupił a kucharka za to żem jabłka połupił!

Bodajto polskie konie! Nie łatwo to znaleźć na świecie takich dziarskich i swarnych koni, jak nasze polskie! Za króla Henryka Walezego Kozak jeden zajechał za jedną dobę z Krakowa do Wiednia na polskim koniu. Kiedy w r. 1657 sławny wojownik polski hetman Stefan Czarniecki pędził Szwedów z Polski, to z całem swojem wojskiem zrobił w dwóch dniach i jednej nocy 48 mil jak uciął a upędziwszy czterdziestąósmą konie polskie odetchnęły chwilę i jeszcze w dodatku wpław Wisłę przebyły! Niejaki Polak Sędziwój, gdy uciekł z więzienia węgierskiego, to upalił ni mniej ni więcej jeno 60 mil na dobę! Niechżeż Niemiec i Anglik i Francuz szukają u siebie, czy znajdą takie konie! Ale bo też za dawnych czasów wszystko w Polsce bywało lepsze!

Zabawny przytrafunek. W kraju Bawaryi był jeden człowiek, co lubił na cudzą zwierzynę podchodzić, i przez to robił w lasach wielką szkodę, bo ubijał zające, jelenie i inne zwierzęta, a nigdy nie mógł go leśniczy dochwycić w żaden sposób. Nareszcie jednego dnia, dają znać leśniczemu, że znów dziś ubił ten człowiek sarnę, i że ją musi mieć w domu schowaną. Nie ma więc rady, tylko leśniczy idzie z leśnymi do tego człowieka na rewizyą. No i przychodzą patrzą, człowiek ten, gospodarz domu, siedzi przy kołysce, i kołysze sobie najspokojniej.

Leśniczy odezwał się do niego:

— My tu przyszli do waszego domu na rewizyą, pójdźcie więc i otwórzcie nam wasze wszystkie schowania.

— Oj kiedy też nie mogę odejść od kolebki, bo nie ma mojej kobiety to sobie już sami wszędy zrewidujcie! — odrzekł gospodarz.

— Nie, tak być nie może — mówi leśniczy — wy musicie być przy rewizyi, a kiedy chodzi o kołysanie, to niech tymczasem leśny kołysze.

I stało się tak: gospodarz, pooprowadzał ich po wszystkich komorach i schowaniach, ale nigdzie nijakiej sarny nie było, odeszli więc z niczem. Wtedy gospodarz przyszedł do kolebki, a widząc, że już leśniczy i leśni daleko, wyjął z kolebki

zabitą sarnę, która tam zamiast dziecka była schowaną.

Nie ma tu widzicie co pochwalić, że ten człowiek kradł cudzą zwierzynę, i tak się zręcznie ukrywał, bo wszelaka kradzież jest grzech wielki, ale to jest śmieszne, że to leśniczy i leśni tak się zaś dali w pole wywieść, że jeszcze ową kradzioną sarnę sami kołysali!

Szkoła dla pszczelarzy. Źle to bardzo, że u nas kmiecie nie hodują tyle pszczół jak po innych krajach! A to wierzcie mi, interes dobry i jak się darzy, to piękny dochód przynosi. A miłe to Bogu i ludziom. Bogu, bo z tego idzie wosk ku chwale boskiej w kościołach, a ludziom, boć miód jest dobry i smaczny dla każdego. A potem że z dawna dawien była o naszej krainie taką przypowieść: „że płynie miodem i mlekiem.“ A czemuż by i teraz tak płynąć nie miała, kiedy ta sama dobra ziemia, te same łąki, te same gaje? Tylko trzeba staranności i pracy dołożyć. Dla tego też ludzie zacni i rozumni pozakładali w kraju takie szkoły, w których się doskonale wyuczyć można, jak należy chować pszczoły, aby nie zlatywały, nie schły, tylko aby się pasieka pomnażała. Taka szkoła jest także w Alwerni nie daleko Krakowa, gdzie nie za wielką opłatą może się człowiek sztuki pszczolarskiej, jak się patrzy, za trzy miesiące wyuczyć, a potem jak jaki taki sprytny chłopak wróci ztej szkoły do wsi, to może w całej wsi koło pszczół chodzić i takowe rozmnażać. Dla tego byłoby dobrze aby całe gromady składały się na jednego lub dwóch takich uczniów, i tam ich swoim kosztem do nauki posełały, a oddało by się im to w dziesięcioro. Boć my ludkowi mili, kochając nasz kraj powinni się starać koniecznie, abyśmy w nim byt dobry spowodowali, i żeby sąsiedzi w obcych krajach od nas, a nie my od nich różne rzeczy kupowali.

Łagodność króla Zygmunta Starego. Królowi polskiemu, Zygmuntowi sławnej pamięci, ojcu Zygmunta Augusta, trafiło się, iż raz mając się umywać, zdjął z palców kilka drogich pierścieni, aby ich nie zmaczał, i dał je trzymać jednemu słudze, który blisko stał. Gdy się król umył a o pierścienie się nie pytał, sługa myśląc, że król zapomniał całkiem o pierścieniach, zatrzymał je sobie. Tak minęło dużo czasu a król się nie upominał o pierścienie. Aż w końcu po całym roku, zdarzyło się, że ten sam niewierny sługa usługiwał królowi przy myciu. Gdy tedy król ściągał pierścienie z palców, sługa wystawił po nie ręce, myśląc, że mu się drugi raz sztuczka uda. Ale król Zygmunt, który dobrze wiedział, co się stało z pierwszemi pierścieniami, rzekł mu do ucha:

— Miej dosyć na pierwszych — te zdadzą się komu innemu!...

Taki to dobry i łagodny był ten król polski Zygmunt, że sobie tak miłościwie postąpił nawet z niewiernym sługą.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.